Forn – Jacek Kalinowski

Koniec świata w Raciborzu

1726

Karol Ludwik von Gaschin wpatrywał się w treść testamentu, jakby pod wpływem jego ciemnych oczu zapisy na ośmiu czerpanych stronicach mogłyby ulec zmianie.

– Tysiąc trzysta guldenów… – Potarł gęstą brodę i spojrzał na księdza Jana, przy którym testament ponownie po roku otworzył i z którym wspólnie się teraz naradzali. – Matka nie pożałowała pieniędzy, choć nasz majątek uszczuplał ostatnimi czasy. Nie widzi mi się na obrządki i rzeźbę łożyć takich kwot.

Ksiądz wzniósł oczy ku górze i westchnął.

– Hrabio, jeszcze raz powtórzę: musimy tę wolę uszanować! Zaraza dziewięć lat temu ustąpiła z Raciborza, oszczędziła krewnych waszych i tysiące istnień w naszym mieście. A jakie piekło się przecież działo za murami…

Twarz mu zmarsowiała, gdy przywołał w myślach rok tysiąc siedemset piętnasty.

– Pamiętam, księże Janie – powiedział hrabia. – Z Nowej Cerekwi wracaliśmy z zaślubin mojego kuzyna ciotecznego. Ludzie trupy po wioskach układali jeden na drugim i palili, okna zamykając naprzód, żeby powietrze morowe do nosa nie weszło. W jednej wiosce, tuż przed miastem, nie potrafili sobie z chorobą poradzić i wszystkich wypędzono, nawet zdrowych. Wioska z dymem poszła, a wcześniej studnie zasypano i w tych studniach wszystkie zwierzęta wałęsające się bez celu potopiono. U nas, cudem jakimś, mało ludzi poumierało i szybko życie wróciło do dawnego biegu.

– W Raciborzu ciągle w dzwony bili.

– Żeby szczury przepędzić! To od tych gadów zaraza morowa się zaczęła.

– I udało się. – Ksiądz ścisnął pięści. – I wyście, hrabio, szczęśliwie wrócili. Nikt z rodu nie umarł. I za to ta podzięka i za rodzinę waszą…

– Sześćset guldenów. Kolejne siedemset na odprawianie mszy. I dom jej murowany matka chce, żebym sprzedał… – Karol Ludwik poderwał się z fotela, bijąc wcześniej pięścią w stół. – Tak będzie, księże Janie! To nie jarmark, żeby targu dobijać i choć uważam, że innych rzeczy teraz w Raciborzu trzeba, to kłócić się z wolą zmarłej matki nie będę. Zdeponuję w magistracie wymaganą ilość monet i stanie monument na cześć Matki Boskiej, która miasto nasze oszczędziła.

1997

Trzeci dzień pada, co nie martwi mnie jakoś szczególnie, bo lipiec jest najbardziej deszczowym miesiącem w roku. Podczas jednej burzy potrafi spać tyle deszczu, ile przez cały najbardziej suchy miesiąc.

W radio mówią o podwyższonych stanach rzek, jakby co pełną godzinę następowała jakaś licytacja: kto da wyżej i więcej. Dodatkowo prognozy pogody nie napawają optymizmem: ma padać i do końca jeszcze nie wiadomo, kiedy przestanie.

Zaglądam do pokoju Mai. Siedzi przy biurku tyłem do mnie i rysuje, machając przy tym energicznie nogami. Wydaje się nie przejmować, że od trzech dni, przez deszcz, nie wystawiliśmy nosa poza kamienicę.

– Ładna tęcza – mówię, stając za biurkiem i kiedy Maja uśmiecha się i chce coś odpowiedzieć, rozlega się dzwonek telefonu.

Po trzecim sygnale podnoszę z widełek słuchawkę i słucham, potakując jedynie. Na koniec mówię, że zgoda, że za godzinę będę na miejscu i rozłączam się.

– Dzwonił dyrektor – informuję Teresę, która w kuchni obiera ziemniaki. – Muszę jechać do szkoły.

– W niedzielę?

– Podobno będą podtopienia i mogą przywieźć kilka osób. Rozłożę z Darkiem, wuefistą, kilka materaców na sali. Mamy koce, herbatę.

– I historyk najmłodszy stażem jest do tego niezbędny?

Rozkładam ręce i siadam do stołu. Jemy obiad w milczeniu, Teresa robi mi kanapki i kawę do termosu i bierze się za zmywanie naczyń. Całuję ją, później Maję i zakładam kurtkę z kapturem.

Na półpiętrze z otwartego okna pachnie latem i przejaśnia się na chwilę, a ja zyskuję pewność, że już po wszystkim, że z nieba, wyczerpanego tym ciągłym deszczem, nie zleci już ani kropla deszczu. Wszystko już się wypadało, sam sobie tłumaczę.

Z piwnicy wyciągam rower, z którego staram się jak najczęściej korzystać zamiast spalać niepotrzebnie benzynę.

Na zewnątrz sąsiad wita się ze mną ponuro, otwierając drzwi swojego forda escorta.

– A pan nie przestawia auta? – pyta.

– Nie, dlaczego? – Jestem szczerze zdziwiony.

– Wszyscy przestawiają. W Głuchołazach dorzecze Odry wylało, zresztą sama Odra też wysoko stoi. Mówią, że u nas też to może się przytrafić. Nie ogląda pan telewizji?

Rzeczywiście, na ulicy jakby mniej samochodów, a niektóre z tych co pozostały, mieszkańcy poustawiali na cegłówkach lub kamiennych bloczkach.

– Nie oglądam – odpowiadam. – Poza tym jestem dobrej myśli.

Wskazuję na niebo, sąsiad jednak tylko macha ręką i odpala silnik.

Z ulicy Ogrodowej do piętnastki[1] mam tak naprawdę dwie minuty rowerem, ale postanawiam nadrobić drogi. I rozejrzeć się po okolicy. Dojeżdżam aż do ulicy Opawskiej, gdzie na niewielkim wzgórzu mieszkańcy okolicznych bloków poustawiali samochody. Ciasno, jeden przy drugim i cały pagórek wygląda, jakby ktoś okleił go różnokolorową blachą. Każde podwyższenie, nawet chodniki, zajęte są przez auta.

W drodze powrotnej do szkoły niebo ciemnieje, raczy mnie mżawką, a kiedy docieram na Słowackiego, Racibórz tonie w kolejnej ulewie.

Deszcz słabnie dopiero późnym wieczorem.

Darek, nauczyciel od wychowania fizycznego, robi nam herbatę, chwilę rozmawiamy, po czym kładzie się na jednym z materacy i zasypia. Ja, chcąc być cały czas blisko telefonu, usadawiam się na niewygodnym krześle w pokoju nauczycielskim, i nie wiedząc nawet kiedy, też usypiam.

Śnię o jakichś bagnach albo torfowiskach, po których chodzę jak w zwolnionym tempie. Wokół mnie ta mokra ziemia wybrzusza się i zapada, jakby ktoś chciał się z niej wydostać, ale brakuje mu sił.

Budzi mnie dzwonek do szkolnych drzwi. Natarczywy, co uświadamia mi, jak głęboko spałem i jak długo ktoś czeka na zewnątrz. Według zegarka minęło niecałe dwadzieścia minut odkąd usiadłem na krześle.

Przechodzę długi korytarz pachnący tanimi środkami czystości i przekręcam klucz w drzwiach.

Widzę starszego mężczyznę. W koloratce. Przed szkołą stoi bus z uruchomionym silnikiem.

– Dobry wieczór. – Mężczyzna podaje mi dłoń. Jest mocno poruszony. – Ksiądz Alojzy Jurczyk, jestem proboszczem kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa. Wiem od miasta, że ma pan dyżur w szkole. Przywożę z Caritasu koce, żywność i dużo wody. Wypakujemy razem?

– Żywność? – dziwię się. – Koce już mamy. A na sali rozłożyliśmy kilka materacy.

---

[1] Szkoła Podstawowa nr 15 z Oddziałami Sportowymi im. Jana III Sobieskiego na ulicy Słowackiego w Raciborzu

Wpuszczam go do środka i szybkim krokiem idziemy na salę gimnastyczna.

– Kilka materacy? – Ksiądz Alojzy rozgląda się i patrzy na mnie z przerażeniem. – To pan nie wie, co się na Ostrogu i Płoniach dzieje?

1726

Hrabia spodziewał się, że opracowanie koncepcji posągu to zajęcie czasochłonne, dlatego wielce się zdziwił, kiedy Jan Melchior Österreich po niecałych dwóch tygodniach poprosił o spotkanie. Przeszło Karolowi Ludwikowi przez myśl, że może rzeźbiarz chce się wycofać ze zlecenia, przerażony rozmachem i odpowiedzialnością, którą na siebie przyjął.

Spotkali się w restauracji we dwóch i dodatkowo urzędnik wydelegowany przez miasto.

Przy stole zastawionym gorącym jadłem okazało się, że Österreich nie tylko się nie wykpił z roboty, co tak się do niej zapalił, że i hrabię opuściły wszelkie wątpliwości co do potrzeby monumentu w raciborskim krajobrazie. Rzeźbiarz kreślił słowami swój pomysł, a mówił to w sposób tak zdecydowany, że hrabia miał wrażenie, jakby ten pomysł chodził po głowie artyście od dawna, czekał tylko na odpowiedni moment, odpowiednie miejsce i zapłatę. Po tym zezwolił, żeby zamiast słów obraz za niego przemówił i wyjął ze skórzanej torby wielkie arkusze, rozłożył je tak, że jeszcze większe się zrobiły i, kończąc jeść kacze udko, patrzył ukontentowany na Henryka Ludwika oraz chuderlawego mężczyznę z magistratu.

– Tak jak mówiłem, na samym szczycie jest Matka Boska Niepokalanego Poczęcia – podjął artysta, kiedy żaden ze współtowarzyszy nie powiedział nawet pół słowa. – Ma koronę z dwunastoma gwiazdami i księżyc u stóp. Niżej, jako symbol pokonanej zarazy, szatan, deptany i przygniatany przez kłębiące się chmury. Wokół nastawa z aniołami i herbami sponsorów, o których miły hrabia wspominał przy pierwszym naszym kontakcie. I patroni, żeby na przyszłość podobnych katastrof uniknąć: od wschodu święty Florian, chroniący od pożarów, od zachodu święty Sebastian, patron od morowego powietrza i św. Marceli, papież, patron Raciborza.

Szkic był tak imponujący i drobiazgowy, z takim światłocieniem, że Henryk Ludwik miał wrażenie, jakby kolumna, pomniejszona, leżała po prostu na kartce. Pomyślał o matce, jak szczęśliwa byłaby z tego pięknego konceptu, który wkrótce zamieni się w namacalną pamiątkę – po niej, jej pomyśle, hojności i po historii, którą też, teraz właśnie, współtworzy.

Wytarł palce w chustę i wyciągnął dłoń do Johanna Melchiora Österreicha.

– Przepiękne – powiedział tylko. – Po prostu przepiękne.

Urzędnik wyjął ze swojej torby dokumenty i położył je na stole.

1997

O drugiej w nocy strażacy przywożą ludzi z Ostroga i Płoni. Nie kilkanaście. Nie kilkadziesiąt.

Całe tłumy.

Robi się chaos, nad którym ciężko nam z Darkiem zapanować. Brakuje kubków, czajnik pracuje bez wytchnienia i gwiżdże co kilka minut, naznosiliśmy też mnóstwo krzeseł z najbliższych sal lekcyjnych. Materaców będzie mało, połowę już zajęły dzieci, które wyrwane ze snu, chcą po prostu się położyć.

Kilka kobiet płacze, mężczyźni wygrażają jedni przez drugich, ale ciężko mi zrozumieć komu i dlaczego. Wypatruję w końcu byłego prezydenta, Jana Kuligę, który nie wiem czy przyjechał tu jako poszkodowany, czy jako przedstawiciel miasta.

– Nic żeście nie zrobili przez tyle lat! – krzyczy jakiś męski głos. – A nam domy pozabierało i cały majątek już pod wodą!

Kulig próbuje tłumaczyć się, uspokajać, w końcu sam chyba źle zaczyna znosić presję, bo woła:

– Wszyscy wiedzieli, że Odra może wylać! Podstawiliśmy wczoraj autobusy, żeby zabrać ludzi z waszej ulicy. I co? Nikt się nie zdecydował!

– A gdzie mieliśmy jechać?! – ktoś pyta. – I kto by ratował nasze mieszkania?

– Samochody na klockach poustawiali… – Kulig machnął ręką i ruszył do wyjścia.

Zamykamy się z Darkiem na chwilę w pokoju nauczycielskim i włączamy radio, gdzie mówią, że Chałupki i Olza już zalane, część Raciborza również i że będzie najczarniejszy scenariusz. Fala pójdzie na Opole i Wrocław.

Wykręcam numer do domu i choć jest środek nocy, Teresa odbiera niemal natychmiast.

Mówi, że dzwoniła jej koleżanka i na Ostrogach płynie dosłownie rzeka. Ulicą. I poziom wody wciąż się podnosi. Obiecuję, że postaram się być jak najszybciej w domu i przeniesiemy cenniejsze rzeczy na wyższe piętro albo do sąsiadów, którzy w takiej sytuacji chyba nie odmówią pomocy.

Wyjść ze szkoły mogę wyjść dopiero o czwartej, jak już świta i zmieniają nas nauczyciele od biologii i matematyki. Przyjeżdża też dyrektor, który z posępną miną klepie mnie po plecach i każe się wyspać. Przy drzwiach szkoła żegna mnie kolejnym wybuchem płaczu kobiet z sali gimnastycznej.

A miasto wita niedużym, ale całkiem regularnym deszczem.

Znów jadę trochę naokoło, żeby zorientować się w sytuacji. Woda zaczyna się na Nowych Zagrodach, najpierw moczy opony, później podchodzi pod pedały, że nie da się już jechać. Na ulicy Sienkiewicza, na wysokości boiska szkolnego, łapię się jedną ręką zielonego ogrodzenia, drugą ciągnę rower. Nie wiem dlaczego nie zawracam. Chyba dlatego, że za mną też już wody jest do kolan i na jedno by wyszło, więc wolę iść dalej niż wracać tą samą drogą. Na Drzymały jest, o dziwo, wciąż sucho, wchodzę więc do najbliższego sklepu, w którym ciężko cokolwiek kupić z powodu chaosu wśród obsługi oraz pustych półek. Wrzucam do koszyka dwie butelki wody, pieczywo, makaron. Mięsa żadnego już nie ma. Odczekuję w kolejce dobre dziesięć minut i ruszam do domu, na Ogrodową. Jak tylko wychodzę, właścicielka krzyczy do ludzi, że ona już zamyka, bo musi towar ratować.

Po drodze orientuję się, że chyba nikt, mimo poniedziałku, nie poszedł do pracy. Na ulicach zarówno mężczyźni, jak i kobiety układają worki z piaskiem przy drzwiach kamienic i oknach piwnic. Nikt nie marnuje słów, jest cicho, jak przed burzą, która dosięgła już mieszkańców Raciborza po drugiej stronie Odry.

Docieram do domu i chcę schować rower do piwnicy, ale później przezornie wnoszę go do naszego mieszkania na pierwszym piętrze.

W drzwiach wita mnie Maja, którą mocno przytulam.

Orientuję się, że w pokojach nie ma połowi mebli.

Teresa mówi, że sąsiedzi o świcie zaoferowali się z pomocą i wszystko, co wskazała, poprzenosili do siebie na górę.

Po południu woda wchodzi na naszą ulicę i centymetr po centymetrze zabiera elewację, zalewając, mimo worków z piaskiem, parter i piwnicę.

Zatrzymuje się pół metra od naszego parapetu.

1727

Kolumna stanęła na średniowiecznym placu kupców i wszystkim mieszkańcom ogromnie ta lokalizacja przypadła do gustu.

Ludność gromadziła się od samego rana, bo od kilku dni afisze informowały o tym wydarzeniu. Klękali, żegnali się trzykrotnie, choć kolumna, okryta ogromnym szarym płótnem, nie stała nawet jeszcze, tylko leżała na linach za drewnianym płotkiem.

Odsłonięcie i umocowanie wiązało się ze łzami i krzykami wdzięczności, bo znaczna część ludności pamiętała zarazę. Część straciła kogoś znajomego, część nawet jakiegoś

krewnego, bo i sam Racibórz rozrósł się, wchłaniając kilka wiosek, które kiedyś były osobnymi gospodarstwami.

Pamiętali ludzie również Marię Elżbietę von Gaschin, która pod koniec życia może i rzadko pokazywała się na ulicach, ale tyle dobrego dla miasta zrobiła, że za jej duszę mieszkańcy różaniec zaczęli odmawiać.

Przy kolumnie, zaraz po uroczystości, odbyła się pierwsza msza dziękczynna, choć zaplanowana była na najbliższą niedzielę. Ludzie jednak zaczęli najpierw śpiewać, a później ksiądz z pobliskiej parafii wszedł na cokół i wyższy stamtąd od reszty o dwie głowy, zaczął mszę celebrować.

Hrabia, mający zaplanowany dalsze zajęcia tego dnia, został mimo wszystko i po przyjęciu komunii czytał wyryty napis na tablicy: „PIA DILECTAE MATRIS IVSSA FILIO PIE EXEQVENTE ILLVSTRISSIMO DOMINO CAROLO LVDOVICO S.R.I COMITE DE GASCHIN, NOBILI DOMINO DE ROSENBERG, HEREDITARIO DOMINO IN REICHWALD, FREISTADT ET KATSCHER, co znaczy: „Pobożne życzenie kochanej matki spełnił dziecięco posłuszny syn, pan Karol Ludwik, Świętej Rzeszy Rzymskiej hrabia de Gaschin, szlachetny pan na Oleśnie, dziedziczny pan na Rychwałdzie, Karwinie i Kietrzu”.

Mszę zakłóciła jedynie kobieta, która pod koniec krzycząc wniebogłosy i szamocąc się z rosłymi mężczyznami, wieściła Raciborzowi potop, za który bezduszni urzędnicy i sam hrabia będzie odpowiadać.

1997

Budzę się przed trzecią. Mam sucho w gardle, jakbym próbował przełknąć gałąź.

Jeszcze przed chwilą dokładnie pamiętałem, co mi się śniło, teraz jednak, gdy siadam na łóżku, czuję jedynie, że to nie był dobry sen. Niepokój nie chce mnie opuścić przez dłuższą chwilę; pełznie gdzieś pod kołdrą, wzdłuż pleców i szyi.

– Teresa… – Potrząsam lekko żonę za ramię. – Teresa!

Żona strąca moją rękę i mówi coś niewyraźnie.

– Pamiętasz co to za wykopy były na starówce rok temu? – pytam. – Koło Kolumny Maryjnej?

– O czym ty mówisz w środku nocy?

– Rok temu fragment rynku był rozkopany. Dlaczego? Wymieniali kostkę?

– Nie, to były jakieś prace archeologiczne. – Teresa się przeciąga i karci mnie zaraz. – Kładź się spać! Co to za temat o trzeciej nad ranem?

– A jeśli naruszyli konstrukcję kolumny?

– Daj mi spokój.

Wstaję z łóżka i wyglądam przez okno. Jest bezwietrznie i tafla wody na naszej ulicy wygląda jak lodowisko, w którym odbijają się chmury i święcący na niebiesko księżyc. Do głowy wdzierają mi się myśli, które ciężko mi uporządkować, ciężko mi je nawet nazwać, taki mam ich natłok, aż czuję pulsowanie w piersi.

Gdzieś w oddali ktoś nawołuje albo daje tajemne znaki przeciągłym jękiem. Po chwili odpowiada mu kobiecy głos. A może dziecięcy. Oboje się śmieją i echo niesie ten śmiech nad wodą stojącą w pobliskich ulicach.

Zamykam okno i, gdy jest mi ciut lepiej, mówię bardziej do siebie:

– Coś czytałem, że podnieśli kolumnę o kilkanaście centymetrów. Z samego rana zadzwonię do ratusza i ich zapytam.

– Nie zadzwonisz. – Teresa przerzuca się na drugi bok. – Wieczorem przestały działać telefony. Módl się, żeby prądu i gazu nam nie odcięli.

1727

Po mszy sam hrabia odnalazł staruszkę w przerzedzonym już zbiorowisku i pyta, jaka to sprawa z jego rzekomą odpowiedzialnością i urzędnikami, co to na rękę jej nie chcieli pójść.

Kobieta z początku lamentowała i gniewnie patrzyła na Karola Ludwika, w końcu jednak hrabi udało się dowiedzieć co nieco z tego potoku słów.

– Wnuk mój, hrabio, pracował w kopalni piaskowca pod Gliwicami, skąd wasz artysta materiał zaczerpnął na ten posąg. – Staruszka wskazała pomarszczoną ręką na Kolumnę Maryjną. – Warunki tam okropne, płaca marna, ale dostali zlecenie, że mają ociosać kilka ton budulca. Wnuk mój nieszczęśliwie zginął, przygnieciony wielkim odłamkiem, a zarządca ukrywał śmierć i płacił innym chłopom za milczenie. Sama dowiedziałam się, że wnuk mój martwy dopiero po tygodniu, jak na obiady nie przychodził, to rozpytywałam, ale same kłamstwa mi do uszu wlewali! Ciała do dziś nie mam, a rok pański zaraz minie. Parę guldenów tylko na pochówek w końcu dostałam, ale co mi po nich, jak pochować kogo nie mam! Prosiłam, hrabio, żeby upamiętnili śmierć mojego wnuczka, który przysłużył się temu, żeby wam tu taka piękna rzeźba stanęła, ale nikt słuchać mnie nie chciał i odsyłano mnie od jednego pokoju do drugiego. Z hrabią też próbuję się zobaczyć, ale wszyscy mieszają mi głowie. Ja chcę tylko pamięci po nim, skoro przytulić go już nie mogę. I nikt, nikt z rajców nie pochylił się nad moją dolą, tyko każdy się wykpił, że to nie jego sprawa, że sprawiedliwości u kogo innego

muszę szukać. Szumowiny! Miejsce w historii sobie piszą złotymi monetami, choć ręki żaden nie przyłożył, żeby monument wznieść dla Matki naszej Boskiej Niepokalanego Poczęcia! A wnuk mój leży gdzieś na dołach i nawet pożegnać go nie mogę. Łez moich nikt mi nie odda, ale wrócą na was, wrócą ze stukrotną mocą i liczebnością i przypomną sobie rody następne o babce, która za wnukiem swoim płakała. Bo jeśli jego nie chcecie poszanować, to pracę jego chociaż miejcie na uwadze. I zaklinam na dobroć serca jego i serdeczność, którą nie zdążył świata obdarować. Kto ruszy ten piaskowiec, przy którym ducha wyzionął, kto rękę ośmieli się podnieść na ten wytwór, krwią jego umazany, kopać przy nim zacznie lub obróci w inną stronę świata, ten powódź na miasto sprowadzi i koniec świata wywoła! Słyszycie, hrabio?! Przyjdzie wielka woda i koniec świata wam zgotuje!

1997

Zawsze pod koniec roku opowiadam swoim uczniom o testamencie, Henryku Ludwiku i Kolumnie Maryjnej. To część naszej raciborskiej historii, fakt, zapisany w kronikach miejskich ksiąg. Po wystawieniu ocen jest kilka luźnych lekcji, na których ten, kto w ogóle się pojawi, dowie się o tym dziękczynnym darze, jego wyglądzie i fundatorach.

Inaczej ma się sprawa z młodzieńcem, który zginął w kopalni piaskowca i jego babcią. To wytwór mojej fantazji. Ubrałem w fabułę powtarzane od nie wiadomo kiedy zdanie, jakoby Racibórz miał znaleźć się pod wodą, jeśli ktoś naruszy kolumnę. Bo przesąd ten funkcjonuje wśród naszej społeczności. Ja mu jedynie nadałem obraz, na który składają się emocje i ludzie z krwi i kości. Zresztą, kto wie, tak przecież mogło być, taką właśnie genezę mogła mieć legenda o Kolumnie Maryjnej i o końcu świata!

Stoję przy otwartym oknie, pod którym dwa dni temu parkowałem samochód, a gdzie teraz jest rozległy staw, który połknął ulicę do pierwszego piętra i tak sobie… stoi.

– Potrzeba wam czegoś? Mleko rozwozimy, chleby, wodę…

Dopiero teraz zauważam dwójkę mężczyzn w dużym ciemnozielonym pontonie.

– Wszystko mamy – mówię zgodnie z prawdą. – Jesteście z wojska?

– Nie, ochotnicy – mówi młodszy dumnie.

– Płyńcie dalej, może ktoś jest w większej potrzebie.

– Jeszcze pół metra do waszych parapetów. – Starszy lustruje elewację zasępiony i poprawia kaptur. – Możemy zabrać kilka osób…

– Do nas nie dojdzie.

Mężczyzna kiwa tylko głową, jakby też z całych sił w to wierzył. Łapie za wiosło.

– Uważajcie na siebie – mówi. – Tu za wami na Kasprowicza młody chłopak zginął. Sparaliżowany, mieszkał z matką.

– I nikt mu nie pomógł?

– Chcieli. Ale w nocy rzeka rwąca była zamiast ulicy i nie było czym podpłynąć. Matka żyrandola się trzymała, a takiego chłopa jak unieść?

– Cholera… – mówię i dodaję zaraz niepotrzebnie. – I co z nim?

– Co z nim. Nic. Utonął.

Odpływają, bo kilka okien dalej ktoś o zgrzewkę wody woła.

I znów dopadają mnie myśli rozbiegane jak nietoperze, z których ciężko mi cokolwiek wyłapać oprócz strachu, może przed tą bezkresną wodą, której tu nie powinno być, a która jest surrealistyczna, jakbym ciągle śnił jakiś przedziwny sen o zapachu wilgoci i mokrego betonu.

Muszę być silny dla Teresy i Mai i nie pozwolić, żeby historia i przesąd sprzed trzystu lat namieszały mi w głowie, pozbawiły trzeźwego osądu, przecież to nic nie znaczy, że podczas wojny Racibórz prawie zniszczono, a kolumna ocalała i potopu jakoś nie było.

Nie myślę, nie myślę o tym, o przepowiedni, o tym, że uczucie takie mam odkąd wstałem, jakby dom w posadach chwiał się i miał za chwilę oderwać się i popłynąć z leniwym nurtem jak drewniany klocek wrzucony w strumień dla zabawy, a może to już jakieś moje paranoje i w obłęd wpadam od tej wody dookoła domu, nie myślę o tym, nie myślę…

Nie myślę o tym.

Nie myślę.

Nie.

Ale wtedy podchodzi do mnie Maja, która widzi ten ponton płynący na równi z czubkami znaków drogowych i wodę widzi przed naszym oknem, mętną, spokojną, połykającą kolejny centymetr elewacji kamienicy przy Ogrodowej. I czuję jak w moim żołądku wyrasta ogromny kwiat, którego liście chcą się wydostać przez gardło, kiedy córka łapie mnie za rękę i nie spuszczając oczu z tej brunatnej tafli wody, pyta:

– Tatusiu, czy to koniec świata?